

PO TEJ STRONIE

*Nieba*



SZYMON ŻYŚKO

PO TEJ STRONIE  
*Nieba*  
MIEDZI ŚWIĘCI

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2018

Opieka redakcyjna: Klaudia Adamus  
Redakcja: Katarzyna Stokłosa  
Korekta: Katarzyna Onderka  
Ilustracje: Karolina smo.ka Smorawska  
Projekt okładki: Karolina smo.ka Smorawska  
Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-1562-3

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków  
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003  
e-mail: [wam@wydawnictwowam.pl](mailto:wam@wydawnictwowam.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496  
e-mail: [handel@wydawnictwowam.pl](mailto:handel@wydawnictwowam.pl)

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260  
[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

DRUK: OPOLGRAF • Opole

Publikację wydrukowano na papierze Stella Press 70 g wol. 1.3  
dostarczonym przez ZING Sp. z o.o.

## BUNT PRZECIWKO ŚWIĘTOŚCI

Od zawsze miałem problem ze świętymi. Nie rozumiałem ich fenomenu. Raziła mnie ich doskonałość, wydawali się nierealni. Wszystko, co miałem okazję poznać, czytając ich życiorysy, napawało mnie bardziej strachem niż fascynacją. W pewnym momencie swojego życia powiedziałem sobie: „Ja nie chcę być święty”. Bo niby dlaczego miałbym tego chcieć? Ich życie było pozbawione normalności i radości. Zamiast marzyć i planować pragnęli śmierci, żeby jak najszybciej zjednoczyć się z Bogiem. Myślałem: by zostać świętym, trzeba cierpieć i obsesyjnie myśleć o Bogu. Wszystkie historie, jakie znałem, były skoncentrowane na bólu, rezygnacji, a w wielu przypadkach jedyną zasługą świętych była śmierć. Tak widział to piętnastoletni chłopak. Tak przedstawiały to hagiografie.

A ja chciałem właśnie marzyć, snuć plany na przyszłość, czytać świeckie książki, spotykać

się z przyjaciółmi i przeżywać swoje życie zupełnie normalnie. Od zawsze miałem przeczucie, że Bóg, którego znam, też się w tym odnajduje. Widziałem Go jako towarzysza w prostym codziennym szczęściu, którego doświadczałem. Dlatego właśnie jako młody chłopak nie potrafiłem zrozumieć świętości ani jej zapragnąć, bo wydawała mi się całkowitym zaprzeczeniem mojego świata. Nosilem w sobie niesamowitą pewność, że moje niebo zaczyna się już tu, na ziemi. Dlatego nie chciałem uciekać od życia, ale przeżyć je jak najpiękniej. Święci mi w tym trochę przeszkadzali, bo byli bardzo niewygodnymi świadkami.

Wszystko zmieniło się, gdy odkryłem, na czym polega ich rola. Na początku studiów przeżyłem swoje nawrócenie. Bycie osobą wierzącą nie oznaczało, że go nie potrzebowałem. Moja pierwsza wiara, tradycyjna i dziecinna, była w nie najlepszym stanie. Targały mną wątpliwości i pytania, na które nie potrafiłem udzielić odpowiedzi. Z tej negacji narodziła się później wiara silniejsza, świadoma, ale wciąż pewne rzeczy pozostawały ukryte przed moim wzrokiem.

Takim problemem do rozwiązania była dla mnie msza święta. Przyjmowałem Komunię Świętą bez przekonania, że jest czymś ważnym. Znajomi podrzucali mi opisy najróżniejszych cudów eucharystycznych i historie świętych mających tę pewność, której mi w tamtym okresie brakowało, ale to do mnie nie docierało. Potrzebowałem bardziej kogoś, kto zrozumie moje wątpliwości, niż świadectwa osoby, która ich nigdy nie miała.

Mały cud w moim życiu wydarzył się w adwencie. Chodziłem bardzo często na roraty, bo msza w ciemności, oświetlana jedynie płomykami świec, była chyba najlepszą metaforą mojej wiary w tamtym czasie. Wiele razy spotkałem się z niezrozumieniem, dlatego chciałem się w tym półmroku ukryć z moimi wątpliwościami. Na kazaniu Jan Góra OP powiedział, że każdy z nas ma imię, które mówi coś o Bogu i przez które Bóg chce nam coś szczególnie powiedzieć. Moje oznacza „Bóg wysłuchał”. Tym tropem doszedłem do jego pierwotnej hebrajskiej wersji i intrygującej postaci, która je nosiła, a był nią Symeon Jerozolimski. Z jakiegoś powodu

wydawał mi się ważną postacią dla całej Ewangelii. Miałem pewność, że jest świętym człowiekiem, ale nie wiedziałem jeszcze dlaczego. Zainteresowałem się nim, lecz nie mogłem znaleźć więcej informacji poza tą krótką historią zapisaną w Ewangelii św. Łukasza (por. Łk 2,25-32). Opowiadałem sobie wiele razy historię jego życia, aby znaleźć w nim to, co ludzkie. Zacząłem mu się zwierzać ze swoich rozterek i modlić się w jego towarzystwie, bo chyba tak najlepiej o tym powiedzieć. Nie do niego, nie przez niego, ale obok niego. Pierwszy raz uczyniłem kogoś w swoim życiu patronem. Symeon czuwał nad moim adwentem.

Pewnego dnia pojawiłem się na roratach znacznie wcześniej. Siedziałem sam w pustym, ciemnym kościele. Wtedy się przebudziłem (dosłownie oraz metaforycznie) i zrozumiałem, że życie starca Symeona przynosi mi odpowiedź, jak sobie poradzić z tymi wszystkimi pytaniami. Zawsze wydawało mi się, że skoro Duch objawił mu, że nie umrze, póki nie zobaczy Zbawiciela, to żył przez te wszystkie lata w pewności, radości i świetle. Myliłem się. To starzec, który całe



życie spędził w niepewności i na oczekiwaniu. Pewnego dnia podczas modlitwy miał natchnienie. Nie było to ani objawienie, ani spektakularne działanie Boga, ale zwyczajne poruszenie. Prosta myśl: „Nie umrzesz, póki nie zobaczysz Zbawiciela”. I całkowicie się poddał tej myśli. A zapowiadała ona też lata wewnętrznej ciemności, bo nie miał żadnych narzędzi, które dałyby mu pewność, że słowa te się wypełnią. Przez lata zapewne tracił wiarę nie raz. Studiował i poszukiwał odpowiedzi. I wtedy wydarzyła się rzecz niezwykła. Już w sędziwym wieku był świadkiem, jak pewna uboga żydowska rodzina przyniosła do świątyni noworodka. Wziął Jezusa na ręce i wtedy znowu poczuł to coś, wzruszył się. Takim samym językiem, z taką samą delikatnością Bóg przemówił do niego już kiedyś. Symeon ożył po latach hibernacji. Z całą mocą oraz pewnością wyśpiewał piękne słowa: „Teraz, o Panie, pozwól odejść Twemu słudze w pokoju, bo ujrzałem Twoje zbawienie”. Jako kapłan był zapewne w swojej społeczności wielkim autorytetem. Wszystko to postawił na szali. Izrael oczekiwał potężnego mesjasza, politycznego wybawcy,

a Symeon powiedział im: to bezbronne dziecko jest waszym Bogiem i ratunkiem. Stało się dla mnie jasne, że ten starzec jest też strażnikiem Najświętszego Sakramentu. Bóg przyjął postać bezbronnego dziecka, żeby być pomiędzy swoim ludem. Bóg dał się zabić, aby przyjąć jeszcze bardziej bezbronną postać w okrucieństwie Chleba, by już na zawsze pozostać ze swoim ludem.

Do kościoła zaczęli schodzić się pierwsi studenci, a ja prosiłem Symeona, aby pozwolił mi patrzeć jego oczami na Komunię, którą za chwilę przyjmę. Powiedziałem mu, że nie chcę spektakularnych doznań, ale bardzo chcę zobaczyć to samo światło, które poruszyło delikatnie jego serce po latach pustki i czekania. Byłem pewny, że wysłuchał moich prośb. Po przyjęciu Komunii wróciłem do ławki, a po twarzy spływały mi łzy inne niż te, które znałem do tej pory. Nie był to smutek ani wzruszenie, lecz wewnętrzny oddech wolności, pokój i nadzieja. Wypełniło mnie uczucie, które trudno opisać znanymi mi słowami. Miałem pewność, że uczynił to ten kawałek Chleba, który przed chwilą połknąłem. Zrozumiałem, że światło,

które zobaczył Symeon, nie było osłepiającym rozbłyskiem, ale ocieplającym twarz promieniem, który przywrócił mu widzenie wszystkich barw świata. Tak jakby człowiek o zaburzonym widzeniu barw nagle dzięki specjalnym okularom zobaczył, jaki ten świat jest piękny, niesamowity i kolorowy. Przypomniało mi się to po latach, gdy abp Konrad Krajewski zachęcał nas, byśmy opalali się przed Najświętszym Sakramentem. Ja to odkryłem dzięki Symeonowi i uwierzyłem, że święci są wśród nas. Od tego momentu z wiarą i przekonaniem odmawiam *Credo*, mówiąc, że wierzę w obcowanie świętych. Symeon już na zawsze został moim patronem chrzcielnym. Do dzisiaj mnie inspiruje, a moim marzeniem jest, aby umierając, mieć taką samą świadomość niesamowitości tego świata.

Jaka jest więc tajemnica działania świętych? Oni są po to, by nas inspirować. Uznanie ich wstawiennictwa w konkretnych sprawach nie oznacza, że nie pomogą nam w innych. Miarą ich skuteczności nie jest przypisanie jednego patronatu, ale prawdziwość i szczerłość naszej modlitwy. Warto czytać ich biografie, bo to w nich

są przede wszystkim odpowiedzi na nasze bóle i łączy. Sytuacje, w których się znaleźli, mogą przypominać te z naszego życia. Decyzje, jakie podjęli, mogą być również wskazówkami dla nas samych. Od wszystkich relikwii świata ważniejsze jest nasze samozaparcie, byśmy chcieli i pozwalali się im inspirować.

Sam szukam w ich życiorysach historii, które pozwalają rzucić na nich zupełnie inne światło. Wciąż traktuję świętych jako zwyczajnych ludzi. Przyjaźnimy się. Ich pomocy doświadczyłem w wielu momentach mojego życia. Ta pomoc nie jest magiczna, a relikwie nie są amuletami. Zwracanie się do świętych z naszymi prośbami zachęca nas przede wszystkim do tego, byśmy swoje pragnienia przemyśleli i przemodlili.

Święci wiele razy dali mi dowód, że nie są maszynkami spełniającymi życzenia. Wśród wielu cudów, jakich doświadczyłem w życiu, chyba największy jest ten, gdy potrafiłem zrezygnować ze swoich planów, bo zrozumiałem, że wcale nie przyniosłyby mi dobra. Często robimy coś pochopnie, a święci zachęcają, aby usiąść w ich towarzystwie, na przykład przy dobrej kawie,

i nabrać do tego dystansu. Tylko w takim spokoju można naprawdę zajrzeć w siebie i dotrzeć do istoty naszych pragnień. Czy naprawdę potrzebuję wygranej w loterii? Czy może bardziej wiary, że moja wartość jest niezależna i większa od pieniędzy? Nie zauważyłbym tego, gdybym dążył tylko do celu, pomijając drogę. Droga jest piękna i można na niej spotkać wielu świętych, którzy nas zatrzymują w biegu, abyśmy mogli złapać oddech. Bóg doskonale wie, co jest w naszych sercach, ale rozumie też, że czasem łatwiej porozmawiać z człowiekiem. Dlatego dał nam Jezusa i świętych. Dał nam również Matkę, żebyśmy mogli się wtulić w czyjeś ramiona, gdy jesteśmy jak obrażone dzieci. Bo szalenie potrzebujemy czułości i bardzo się tego wstydzimy. W swoim dziecięcym zawstydzeniu możemy wołać do Niego przez innych. Modlitwa nie jest przekonywaniem upartego Ojca do naszych racji, ale rozmową. Dialog pozwala nam wiele rzeczy zrozumieć. Warto rozmawiać ze świętymi, żeby móc czasem usłyszeć siebie samego.

To nie fragment kości sprawi, że Bóg usłyszyny nasze modlitwy. Relikwie nie zwiększają naszego

zasięgu, nie działają jak przewodniki antenowe. Jezus nam obiecał, że tam, gdzie modlimy się we dwóch lub trzech, On również będzie (por. Mt 18,20). A ile razy wydaje ci się, że jesteś sam? Święci zawsze wołają razem z nami do Boga. Modlitwa jest przede wszystkim po to, byśmy mogli Go usłyszeć.

### Czym jest świętość?

Kościół uczy, że świętość jest stanem konsekracji, czyli całkowitego poświęcenia Bogu. Święci są nieskazitelni, bo uczestniczą już w chwale Boga i mają udział w Jego świętości, a nie z powodu własnej doskonałości. On jako jedyny jest Święty sam z siebie i chce się dzielić z nami tą łaską. Święci za życia nie byli idealni i nieraz okropnie grzeszyli. Jednak cały czas się nawracali. Bo święty to po prostu przyjaciel Boga i człowieka. A na przyjaciołach nam zależy, prawda?

Nasze pojęcie świętości bardzo często zatrzymuje się na kulcie. Gdy myślimy o nas jako przyszłych świętych, to wyobrażamy sobie często,

że nasza dusza jest z Bogiem, ale myśli są na ziemi z ludźmi. Zastanawiamy się, czego będziemy patronami, jak będzie wyglądał nasz kult, jakie cuda będziemy czynić i komu pomagać. Myślimy o tym w kategoriach wyniesienia na ołtarze. Tymczasem powołanie do świętości jest skierowane do każdego człowieka. Wiara w świętych obcowanie szczególnie pięknie uwidocznia się w uroczystości WSZYSTKICH Świętych, zwłaszcza tych nieznanymi Kościołowi z imienia. Do świętości zbliża nas codzienne życie. Każdy krok, decyzja i wyjście do drugiego człowieka uświęcają nas już tutaj. Wszystko zaczyna się na ziemi.

Błogosławieni również cieszą się pełną świętością u Boga, nie są gorsi. Beatyfikacja jest aktem zezwalającym na lokalny kult, najczęściej na ziemiach, gdzie kandydaci się urodzili lub zmarli w opinii świętości. Kanonizacja natomiast pozwala czcić taką osobę w całym Kościele. Listopadowa uroczystość jest dowodem na to, że rzesze świętych są tak naprawdę niezliczone. To najpiękniejszy dowód niezmiernego miłosierdzia Boga. Wśród nich są zapewne

nasi bliscy i ludzie, których spotkaliśmy w różnych sytuacjach. Nie bójmy się szukać, czytać i zaprzyjaźniać z nimi. Ich życie jest skarbnicą dobrych rad. Nie czcimy ich za to, że byli superbohaterami, ale za normalność. Najlepiej, jak potrafili, byli dobrymi ludźmi. I chociaż Kościół orzeka, czy dana osoba może być czczona publicznie, to sami mamy też w naszym życiu wielu przyjaciół, którzy odeszli w opinii świętości. O nich również pamiętajmy. Nie bójmy się widzieć w nich prywatnych świętych. My też kiedyś nimi będziemy. Tego chce sam Bóg. Ja też tego chcę, a ty?

### Młodzi, święci, inspirujący

Bóg ma wiele przymiotów, którymi się z nami dzieli. To te sławne talenty. „Stworzeni na obraz i podobieństwo Boga” (por. Rdz 1,27) – zastanawiałaś się kiedyś, co to w sumie znaczy? Tak jak po rodzicach dziedziczymy kolor oczu, rysy twarzy i pewne cechy charakteru, tak samo po Bogu dziedziczymy pewne cechy. On jest bardzo bogaty, dlatego każdy z nas może powiedzieć,



że jest do Niego podobny. To nie tylko zdolności, ale też nasza osobowość i wrażliwość. Realizując się w pełni, sprawiamy, że On może być jeszcze bardziej obecny w świecie i życiu każdego człowieka. Wszystko, co czynimy, jest pomnażaniem chwały Bożej. Boże DNA jest tak hojne, że nie tylko zostałeś obdarzony pewnymi zdolnościami, ale masz też możliwość sięgać po zupełnie inne. Może nie urodziłeś się pokorny, ale możesz się nim stać. Nie urodziłeś się też hojny, ale możesz się hojności nauczyć. To jest sens ignacjańskiego słowa *magis*, czyli „więcej”. Z Bogiem zawsze jest więcej, dalej, głębiej...

Wszyscy mamy tę wielką potrzebę kochania i bycia kochanym. W naszym kodzie zapisana jest tęsknota za Bogiem będącym jednym wielkim kochaniem. Możesz się sobie nie podobać, ale to nie są kategorie Bożego myślenia. On potrafi stwarzać tylko piękno, dlatego stworzył nas.

Do świętości zbliżamy się, rozwijając i wcielając w życie wszystkie te cechy, które są obrazem Boga. Przez nasze usta i ręce na świat przychodzi Jego miłosierdzie, sprawiedliwość i pokój. To było odkrycie św. Teresy z Lisieux.

Wierność Bogu w najmniejszych rzeczach, życie z pasją i wykonywanie nawet swoich obowiązków ze świadomością, że są drogą do świętości. Nie bała się przyznać, że kiedyś będzie świętą, bo świętość rozumiała zupełnie inaczej. Nie chciała kanonizacji, chciała być z Bogiem. Zostaliśmy stworzeni na podobieństwo Boga, dlatego najbliżej Niego jesteśmy, będąc sobą. To, co nazywamy człowieczeństwem, jest tak naprawdę częścią Boga w nas.

Swoje powołanie do świętości odkrywam dzisiaj na nowo, poznając ludzi młodych, którzy poszli za tym wezwaniem. Jest w nich niesamowita życiowa energia, pasja i nadzieja. Nie byli porażeni zwątpieniem, które dotyka nas po wielu życiowych doświadczeniach. Przeciwnie, uważali właśnie, że nie da się zrobić tylko tego, czego się nigdy nie próbowało zrobić. W swoim życiu realizowali radykalny entuzjazm. Bardzo mi się podoba znaczenie tego słowa ukryte w jego greckiej etymologii – *éntheos*, czyli „natchniony przez Boga, zanurzony w Nim”. Ich radość i siła, z jaką zmieniali świat, pochodziły od Stwórcy. Dzieląc się z nimi swoją mocą, pozwolił, aby oni również

mogli pomóc Mu stwarzać ten świat, czynić go trochę lepszym od tego, który zastali. Świat bardziej miłosierny i sprawiedliwszy, w którym nikt nie jest przypadkowy, niechciany i zapomniany. Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, oni są Synami Bożymi (por. Mt 5,9).


Pewien grecki retoryk, Lukian z Samosat, tak pisał o chrześcijanach w II wieku: „Ci opętańcy uroili sobie naprzód, że całkowicie będą nieśmiertelni i że żywot ich czeka po wieki, skutkiem czego gardzą śmiercią”\*. To jedno z mocniejszych zdań definiujących świętość, jakie słyszałem. Od czasu Zmartwychwstania Jezusa idziemy za Nim, nie bojąc się ani śmierci, ani tym bardziej życia. Takich ludzi kocham i szukam. Nie bali się świata, bo ten został stworzony przez Boga. Kochali świat, bo w Nim ukryty jest Bóg. Byli zakochani w życiu, bo pochodziło od Stwórcy.

---

\* *Pierwsi apologeti greccy*, Biblioteka Ojców Kościoła nr 24, tłum. ks. Leszek Misiarczyk, oprac. ks. Józef Naumowicz, Kraków 2004, s. 52.

Chciałbym przedstawić wam ludzi, którzy mieli więcej zasług niż śmierć w młodym wieku. Cierpienie było tylko przypadkiem w ich życiu, przeszkodą na drodze, a nie jej sensem. To młodzi święci, przyjaciele Boga i ludzi, którzy pobożność rozumieli jako styl życia, a nie przebywanie w kościele. Realizowali marzenia i zmieniali świat. Gdy odeszli, kawałek naszego świata nagle zniknął, bo byli właśnie częścią Boga, która emanowała na nas wszystkich. Przywracali światu jego pierwotne barwy, którymi namalował go niegdyś Bóg. Nie zapomnijmy o nich, by nie zgasić tego ciepłego światła, którym ogrzewali nasze serca i twarze.

Świętość jest owocem pasji, miłości, radości i życia. Daj się zainspirować.

A decorative graphic consisting of two horizontal dashed lines, one above and one below the text. Each line starts with a small square on the left and ends with a small square on the right.

Zawalcz  
o swoje  
powołanie



## ŚW. STANISŁAW KOSTKA SJ

Na trop młodych świętych natknąłem się dzięki postaci Staszka Kostki – pozwolicie, że tak będę go nazywał, bo strasznie się ze sobą zaprzyjaźniliśmy. Każdego dnia mijałem Kostkowy pomnik w drodze do pracy. Jego inność nie dawała mi spokoju. Staszek był na nim bardzo dynamiczny, jakby w drodze, a zawziętość miał wypisaną na twarzy. Na szczęście ten pomnik miał w sobie więcej charakteru niż hagiografia Kostki, którą szybko odłożyłem na półkę. Zniechęciła mnie pierwsza historia, na jaką trafiłem. Podobno Staszek już od dziecka się wyróżniał, był bardziej uduchowiony. Gdy inni grali w piłkę, on wolał się modlić. Rówieśnicy mieli go kiedyś zapytać, kim chce zostać w przyszłości, a Kostka odpowiedział, że świętym, i poszedł się modlić. Trudno mi było uwierzyć w takie legendy. Każdy, kto choć trochę pamięta swoje dzieciństwo, też

miałby spore wątpliwości! Wiedziałem, że upór i błysk w oku wypisany na pomnikowej twarzy nie są przypadkowe. Po prostu czułem, że Kostka ma swoje za uszami i wcale posłusznym dzieckiem nie był.

Stanisław Kostka urodził się w 1550 roku w szlacheckiej rodzinie. Od początku zatem wszyscy byli przeświadczeni, że czeka go wielkość i sława, chociaż zapewne widzieli ją raczej w przyszłej politycznej roli młodego szlachcica. Rodzice wiązali z nim sporo nadziei, dlatego zadbali o najlepszą edukację syna. Uczył go znany wówczas ksiądz kanonik Jan Biliński. Warto już teraz dodać, że ksiądz ten był ważną postacią w procesie beatyfikacyjnym Kostki, a jak mało kto znał wszystkie wybryki panicza. Młody Kostka był bardzo ciekawy świata i chłonny wiedzy. Dlatego mając czternaście lat, został wysłany do szkoły jezuickiej w Wiedniu. W tym czasie kolegia prowadzone przez jezuitów uchodziły za elitarne i wiodły prym w szkolnictwie. Wydały wielu znanych i poważanych naukowców, kapłanów i ludzi sztuki oraz polityki. Niewątpliwie nauka w niej była wielkim zaszczytem



dla Staszka i jego starszego brata Pawła, którzy wyruszyli w drogę do Wiednia razem ze swoim wychowawcą. Ale tak naprawdę był to gwóźdź do trumny, w której zostaną pochowane marzenia rodziców o posłusznym synu.

Stanisław wychował się w bardzo religijnym domu. To, jak się modlił, znał Pismo Święte i potrafił rozmawiać o wierze, imponowało nie tylko nauczycielom, ale też rówieśnikom. A jak wszyscy wiemy, dzieciaki potrafią być naprawdę złośliwe, gdy ktoś odstaje od reszty, dlatego zapewne nie miał on łatwo w tym elitarnym gronie. Dla Kostki jednak wiara to było coś więcej niż zwykła pobożność, dlatego dociekał, zadawał niewygodne pytania i często był brany za małego buntownika. Kto mógł się spodziewać, że ten młody chłopak rośnie na prawdziwego obrońcę wiary. Mimo to rodzice mieli dla niego przewidziany inny plan niż pójście drogą powołania kapłańskiego. W 1565 roku Stanisław doświadczył pierwszych naprawdę mocnych duchowych przeżyć. Trudna sytuacja katolików w Wiedniu narastała. Rodzący się protestantyzm szybko zakorzeniał się w Europie, a przeciwko Kościołowi

rzymskokatolickiemu występowało coraz więcej osób. Z tego powodu zamknięto część kolegium w Wiedniu, a uczniowie byli zmuszeni do szukania prywatnych mieszkań. Staszek i Paweł wynajęli pokoje u sympatyzującej z protestantami rodziny. To spotkanie zrobiło ogromne wrażenie na Kostce, który na każdym kroku spotykał się z krytyką swojej wiary. Kostkowie wymykali się, aby móc uczestniczyć w nabożeństwach katolickich. Jednak Staszek poważnie zachorował. Leżał przez całe dni w łóżku z wysoką i wycieńczającą gorączką. Bardzo chciał przyjąć Komunię, ale właściciel domu, w którym mieszkali, nie wyrażał zgody na wizytę księdza katolickiego. Paweł bardzo nalegał, nawet pokłócił się z wynajmującym, ale nie udało się nic wskórać.

Staszek miał tak mocne pragnienie, że tej samej nocy objawiła mu się św. Barbara w towarzystwie dwóch aniołów i udzieliła mu Komunii Świętej. Chwilę później podczas modlitwy dziękczynnej za tę mistyczną Komunię ukazała mu się Matka Boża, która pochyliła się nad nim i włożyła mu w ramiona Dzieciątka Jezus. Nie wiem, na ile obraz ten był wynikiem wzrastającej

gorączki, a na ile prawdziwą łaską, ale tej nocy Staszek wyzdrowiał, a rankiem zerwał się z łóżka w pełni sił. Była to dla niego prawdziwa zagadka. Doświadczył czegoś, o co trudno nawet było pytać innych. Wiadomość o tym wzbudziła zainteresowanie wśród rówieśników, zakonników i właściciela mieszkania.

To doświadczenie sprawiło, że wiara Staszka stała się zupełnie inna. Tamta noc uzupełniła jego życiowe akumulatory, tak że wprost kipiał energią. Nie mógł usiedzieć w miejscu, wiedząc, że w świecie czeka na niego tyle odpowiedzi i zadań. Chciał więcej rozumieć, więcej się modlić i mówić o Ewangelii wszędzie tam, gdzie tylko się pojawiał. Mówił o niej z takim zaangażowaniem, że wzbudzał podziw i zazdrość słuchaczy. On naprawdę doświadczał Bożej obecności w codzienności. Przez długi czas obserwował pracę jezuitów i bardzo był nimi zafascynowany. Zdecydował się w końcu wstąpić do zakonu. Nic w tym dziwnego, bo to właśnie jezuita byli zakonem najbardziej obecnym w świecie, wśród heretyków, wśród dziwaków i odrzuconych, aż po szczyty władzy świeckiej i duchowej. Kostka wiedział,

że do nich pasuje, a dowód tego otrzymywał za każdym razem, gdy jego dociekania spotykały się z zainteresowaniem jezuitów, a nie krytyką.

Decyzja ta wywołała jednak silny sprzeciw rodziców. Syn kasztelana miał zapewne świetlaną przyszłość w ówczesnej Rzeczpospolitej. Mimo wszystko Kostka poprosił wiedeńskich jezuitów o przyjęcie, ale ci także odmówili w obawie przed rodzicami. Cokolwiek by mówić o fantastycznych braciach z Towarzystwa Jezusowego, to jednak trzęśli się ze strachu, choć nie wszyscy. Zakon zdawał sobie sprawę, jaką pozycję ma rodzina polskiego szlachcica, i chciał uniknąć pewnego skandalu z tym związanego. W tym samym czasie starszy brat, Paweł, otrzymał polecenie pilnowania Stanisława, aby ten nie zrobił nic głupiego.

Staszek w pierwszej chwili poddał się decyzji zakonu. Jednak marzenie o jezuickim życiu rozpałało go do tego stopnia, że postanowił uciec. Sprzeciwił się rodzicom i w sierpniu 1567 roku uciekł z Wiednia w przebraniu żebraka. W pogoń za nim ruszył brat Paweł, ale widział tylko kurz na drodze po tym, jak Staszek

zbiegł. Kostka natomiast trafił do oddalonego o kilkaset kilometrów bawarskiego Dillingen. Tam przedstawił swoją sprawę jezuitcie Piotrowi Kanizjuszowi, późniejszemu świętemu. Kanizy postanowił poddać młodzieńca próbie, by wybić mu z głowy ten pomysł. No a jeśli jednak jakimś cudem by wytrwał, to kto może zagrozić prawdziwemu powołaniu? Chyba tylko sam powołany.

Zlecił mu więc służbę w klasztorze, żeby sprawdzić hart ducha młodego szlachcica i jego motyw. Wychowany w wysoko postawionej rodzinie chłopak traktował początkowo jako ujmę pracę w pralni czy sprzątanie pokoi i ustępów. Przewyciężył jednak swoje ambicje, bo wiedział, że to jedyny sposób, aby spełnić marzenie. Młodzieńcze marzenia to prawdziwa energia, która porusza naszym światem. Z czasem Kostka okazał się bardzo sumienny i, co dziwne, radosny w wypełnianiu obowiązków. Piotr Kanizjusz nawet polubił chłopaka z Polski. Wiedział jednak, co go czeka poza murami klasztoru. Dlatego po kilku tygodniach postanowił go wyprawić do Rzymu – możliwie jak najdalej od jego zaborczej, choć kochającej rodziny. Staszek otrzymał

list polecający i w znanym sobie stylu jako żebrak wyruszył w drogę do Wiecznego Miasta.

Jezuici pewnie nie mogli się nadziwić, gdy w ich drzwiach stanął żebrak z bogatej rodziny, który czyszcząc ustępy, zapracował na list z osobistym poleceniem od Piotra Kanizjusza. Prawda, że ta historia brzmi dziwacznie nawet po kilkuset latach? Jednak marzenie się wreszcie spełniło i 28 października 1567 roku Staszek został przyjęty do jezuickiego nowicjatu przez św. Franciszka Borgiasza, ówczesnego generała zakonu. Młody szlachcic szalał z radości. Bracia zapamiętali go jako wulkan energii. Miał niespożyte źródła energii i radości, a po doświadczeniach z Bawarii żadna praca go nie hańbiła. Pilnie się uczył, zadając wciąż niewygodne pytania. Wszyscy widzieli, że wspólnota jezuitów jest rzeczywiście miejscem, którego pragnął, był stworzony do bycia jezuitą. Ten chłopak miał zaledwie siedemnaście lat, a już wypełniał cały charyzmat jezuicki. Chyba dzięki niemu bracia zauważyli, że to jednak możliwe. W tym wszystkim nie brakowało mu zwyczajnych ludzkich cech. Był towarzyski, ciepły i braterski, czyli jednym słowem – ludzki.

Kasztelan Kostka nie mógł jednak przeboleć całej tej historii. Gdy tylko się dowiedział, że syn jest w Rzymie, napisał list, w którym w bardzo mocnych słowach przekazał, że się go wstydzi. Ucieczka w przebraniu biedaka i rola służącego były ogromną ujmą dla całego rodu Kostków. Spodziewam się, że taki list od kochających rodziców był dla młodego Kostki dużym ciosem. Nikt z nas nie lubi słyszeć, że zawiódł bliskich. Nawet jeśli robimy coś, co nie podoba się rodzinie, zawsze przecież wierzymy, że jakoś się to ułoży, a efekty będą miały pozytywny wpływ na zdanie najbliższych. Kilka dni minęło, nim Staszek poukładał sobie w głowie słowa ojca. Wymiana zdań pomiędzy mężczyznami o takim temperamencie mogła zakończyć się katastrofą. Gdy się uspokoił, postanowił odpisać. Zapewnił rodziców, że jest w najlepszych możliwych rękach i nie mają się o niego już troszczyć, bo został przeznaczony Bogu. Nie żywił urazy do nich, nie wypomniał im ciężkich słów i zakazu, ale napisał o swojej wielkiej wdzięczności za to, że może spełniać największe marzenie swojego życia. I może właśnie opowiedzenie im o swojej

perspektywie poskutkowało tym, że emocje opadły. Wyszło na to, że wcześniej nie mieli okazji po prostu ze sobą porozmawiać od serca.

W 1568 roku Włochy nawiedziły potężne upały. Osłabiły one mocno Stanisława, który prawdopodobnie wśród miejskiej biedoty zaraził się malarią. Chłopak przez cały lipiec poważnie chorował. Dzień przed śmiercią wiedział już, że umiera. Serio? Po tylu staraniach i walkach tak ma się skończyć jego droga? To nie Bóg miał taki plan. Staszek, decydując się na porzucenie komfortu, wiedział, że od teraz ryzykuje całym swoim życiem. Nie fascynowało go jedynie istnienie, chciał być naprawdę. Bracia się z nim żegnali, a on nie miał w sobie nawet smutku. Wiedział, że zrobił wszystko, co mógł, i przeżył, jak najlepiej umiał, swoje krótkie życie. Ból nie zniekształcił jego radości, choć dawał mu się we znaki i Staszek nie ukrywał tego. 15 sierpnia 1568 roku zmarł wycieńczony. Niemal natychmiast po śmierci narodził się jego kult we Włoszech wśród ludzi, którzy go pokochali.

Wstawiennictwu Stanisława Kostki przypisywano wiele cudów, a zwłaszcza pomoc w bitwach,



jak choćby zwycięstwo nad Turkami pod Chocimiem. Król Jan Kazimierz osobiście dziękował mu za pomoc w zwyciężeniu Tatarów pod Beresteczkiem w jednej z największych bitew w historii Europy. Osobiście poinformował o tym niezwykłym cudzie samego papieża Klemensa X. Z tego względu Kostka zaczął być postrzegany jako patron całego narodu. W 1962 roku Jan XXIII potwierdził ten patronat swoim dekretem i św. Stanisław Kostka stał się jednym z głównych patronów Polski. Co takiego było w Kostce, że królowie brali go za patrona swoich bitew? Miał być hańbą swojego rodu, a został bohaterem narodu. Posiadał wszystkie cechy prawdziwego wojownika, tyle że nie walczył z ludźmi, ale o ludzi.

Święty Stanisław Kostka jest idealnym orędownikiem w kwestii rozeznawania powołania. Jego historia pełna jest młodzięcej pasji i odwagi podążania za tym, co piękne, ale też trudne. Stał się patronem młodzieży, nowicjuszy zakonnych i studentów. Był wytrwały i nieugięty. Potrafił sprzeciwić się nawet rodzicom, gdy chodziło o sprawy naprawdę ważne. Taki to był z niego święty zawzięty.

Postać Staszka Kostki stała się ważna również dla św. Teresy z Lisieux. Była nim zafascynowana. Jego droga do świętości inspirowała ją. Wszystko zaczęło się, gdy jedna z sióstr nosząca imię Stanisława obchodziła imieniny. Święta Tereska napisała wtedy scenariusz oparty na biografii Kostki. Była bardzo wstrząśnięta jego historią i wiernością. Kto wie, być może to on pomógł jej odkryć małą drogę do świętości, która uczyniła z niej Doktora Kościoła?

Jestem przekonany, że św. Stanisław Kostka był też jednym ze świętych, dzięki którym mieliśmy papieża Jana Pawła II. W wielu rozmowach papież Polak przyznawał, że nabożeństwo do św. Stanisława wyniósł z domu jako dziecko. Spotykając polskich jezuitów w Rzymie, często pytał o to, jak się ma jego kult w Polsce. Do jego grobu przybywał jako biskup, kardynał, a później papież. Staszek Kostka był jedną z jego inspiracji, aby zorganizować Światowe Dni Młodzieży. Jan Paweł II zmienił ten świat na lepszy, bo miał wizję. Myślę, że nauczył się tego właśnie od Kostki. Młodzieńcza siła, entuzjazm i marzenia – cechy ludzi wielkich. To wszystko pozwala

zmieniać świat. Może to robić tylko ktoś, kto potrafi patrzeć dalej i głębiej, tak jak oni. Bez Staszka młody Karol Wojtyła być może nie miałby tyle odwagi, by zrezygnować z polonistyki.

Gdy patrzę na swoje życie, trochę żałuję, że nie poznałem Kostki wcześniej. Może natchnęłoby mnie odwagą realizowania swoich pasji. Na pewno nauczyłbym się doganiać swoje marzenia. Na szczęście powołanie realizuje się przez całe życie i wciąż mam szansę, by wiele zrobić. Kostka jest moim zaufanym doradcą w tej sprawie.

Mimo że Stanisław nie zdążył ukończyć nawet nowicjatu, o którym tak bardzo marzył, wypełnił swoje powołanie w całości. Nie liczyło się dla niego, czy efekt jest godny podziwu w oczach innych. Jeśli Kostka wydaje ci się śmieszny, zadaj sobie pytanie: czy chociaż raz w życiu miałeś odwagę, żeby sięgnąć po swoje najskrytsze marzenia? W tym było jego zwycięstwo i świętość. Porozmawiaj z nim, jeśli potrzebujesz rady. Nikt bardziej nie zrozumie twoich pasji. Staszka nie musisz się wstydzić, odszukaj z nim swoją drogę.